

Z piątki tylko Peter Wutke zachował broń. Pozostali przed zejściem do łodzi musieli ją oddać Oberleutnantowi, który wyokrętował ich z U-Boota. Nie byli zaskoczeni poleceniem rozbrojenia, należeli do doświadczonych żołnierzy, zdyscyplinowanych i przyzwyczajonych do wykonywania nieraz bardzo osobliwych rozkazów w oddziale SS-Verfügungstruppe. Nawykli też do pogardliwych spojrzeń ludzi z Werhmachtu, szczególnie z Kriegsmarine. Cóż, wybrańców Heinricha Himmlera dopadały do nich coraz bardziej ponure i nieprawdopodobne opowieści, a trupie główki na czapkach kojarzono nie tyle ze służbą dla Vaterlandu, co z fanatycznym ideologicznym zapalem nazistów. A tych ostatnio ubywało. Zatem pozbyli się broni. Tylko ich dowódca miał jedną sztukę w kaburze i on odbierał na pokładzie ostatnie ustnie przekazywane rozkazy czy wskazówki. Jakże? Tego podwładni nawet w drodze na ląd nie dowiedzieli się, ale nie sądzili, by miały im towarzyszyć życzliwe słowa rozstania. Awersja marynarzy z U-Boota do nich była głębsza, mściwa. Jak niechęć do ludzi z SS. Zbliżał się czas ostatecznych i powszechnych rozliczeń, oskarżeń, podejrzeń. A formułowanie oskarżeń wobec esesmanów nie było trudne. Frontowi żołnierze odcinali się od nich, jak odrąbuje się tasakiem lepszą część mięsa od gorszej, do usunięcia.

Peter Wutke nie lękał się skazującego wyroku. Jak inni stworzeni są do wydawania rozkazów, tak on do ich przekazywania podwładnym i wykonywania. I to wszystko. Gdzie szukać powodów obarczających go jakąkolwiek odpowiedzialnością za coś, co byłoby czynem wynikającym z jego natury, potrzeb duchowych czy zmysłowych, a nie pochodziło z nakazów wydawanych przez przełożonych?

Ze swoimi ludźmi, tymi lepszymi od innych esesmanów, wszedł do łodzi. Na lodowate spojrzenie tych przy relingu na okręcie podniósł wzrok i odpowiedział spod oka posępnym. Jeszcze nigdy morze nie wydawało się być tak czarne jak w tę noc, jego powierzchnia połyskiwała żywą, budzącą obrzydzenie mazią. I zapach wydawał się głębszy, przez to bardziej niepokojący tą rozlaną, żywą czernią rytmicznie pulsującą wznoszeniem się i opadaniem. Nie odpłynęli daleko, nim okręt zdążył się zanurzyć i zaczęli pogrążyć się w smolistej wodzie.

Psubraty! Kto dał im rozkaz uszkodzenia łodzi?! Wybrańcy z SS-Verfügungstruppe nie są już nikomu potrzebni? Posyła się ich w głębiny morza wraz z informacją o jakichś tajemniczych paczkach złożonych na skalistej wysepce? Po co więc ta karkołomna akcja, jeżeli Opatrzność dawno przestała już sprzyjać walczącym o słuszną sprawę i nie ma nadziei na zmartwychwstanie Rzeszy z gruzów?

Może Opatrzność opowiedziała się za „słuszną sprawą” niesioną na innych sztandarach, w słowach innych hymnów?

I żaden chór nie odśpiewa już „Niderlandzkiej Modlitwy Dziękczynnej”.

Nadludzkim wysiłkiem pokonali niewielką odległość dzielącą od lądu. Wyszli na brzeg niedaleko wbitego w piach drzewca odartego z flagi, z głowicą z hakowatym krzyżem. *Hakenkreuz* nie wyglądał najlepiej nie tylko dlatego, że już zdążyły go opaskudzić mewy. Swastyka sprawiała wrażenie zgniecionej. Uratowanych nie rozpiekało uczucie szczęścia, zmęczonymi oczyma patrzeli na dowódcę cieszącego się szczególną estymą. Siedział przed nimi na wydmie, trzymając w ręce Walthera P38, pistolet samopowtarzalny, jaki był na wyposażeniu Wehrmachtu. Pochodził z Oberndorfu, miał krótki odrzut lufy i osiem naboju. Tak więc kul wystarczyło po dwie na każdego. Peter Wutke wyglądał na trwającego w bezruchu. Naprawdę zabawiał się bronią, którą przekładał z ręki do ręki, oglądał lufę, mierzył w jakiś niedostrzegalny punkt na morzu, jak na przykład na ten okręt wojenny, który koniecznie chciał się ich pozbyć, pozostawiając losowi na terenie zajętych już przez wroga, i znów trzymał w dłoni przed sobą gotową do oddania strzału. Bez przyjemnej myśli jej dotykania. Nie strzelał. Czekał na coś? Pistolet dawał mu coraz bardziej wątpliwe poczucie władzy. Nie było pewne, czy chce ją na koniec po wykonanym zadaniu, wykorzystać. Wrócili z północnego akwenu Morza Bałtyckiego, ze skalistej wysepki, której nazwy nie znali. Najpierw przenieśli skrzynie transportowane z Peenemünde na okręt, potem z okrętu oddali na wyspie czterem niemowom, należących do tego samego ugrupowania, co oni. Szybko, bez pogadania sobie, bez wypalenia papierosa. Na tym ich misja się kończyła.

— I z przykrością muszę powiedzieć — poinformował Oberleutnant, nie najwyraźniej artykułując spółgłoski szczelinowe — wojna też.

Oczywiście zapewne miał na myśli, że tylko dla nich. Ale Peter Wutke wiedział, że nie tylko dla nich. Doznanie klęski było chyba dla niego bardziej złożone niż dla innych, szczególnie przez podkomendnych. Miał większą od nich wiedzę o tym, co działo się na frontach, do jakich rozdzwięków dochodziło w sztabach dowódczych. Klęska Rzeszy była nieuchronna, ale nie tę katastrofę najboleśniej odczuwał. To on, Peter Wutke, znalazł się na straconej pozycji, z czym mimo wszystko, mimo obiektywnych faktów, nie zamierzał się pogodzić. Nie myślał o dążeniu do swojego zwycięstwa, tego wyimaginowanego, krzepiącego ducha — byłoby to niepoważne oczekiwanie, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Jemu wystarczyłaby gwarancja

przetrwania jeszcze jeden dzień, dwa, no, może tydzień, zapewnienie, że znów może znaleźć dla siebie miejsce, odpowiednią pozycję w czasie stworzonym przez siły, których wcześniej nie aprobował, zażarcie walczył z nimi zgodnie z przyjmowanymi rozkazami. Był gotów pogodzić się z nową sytuacją tworzoną przez powojenną historię pod jednym warunkiem — przetrwania.

Wylądowali na piaszczystej plaży pod klifowym masywem Gosan Berg i koniec. Dlaczego tu? Odpowiedź pozostała w sferze niejasnych podejrzeń.

Wreszcie Wutke próbował je rozwiązać.

— Zrobiliśmy, co do nas należało. Orderów nowych nam nie przybędzie. Kto miałby nam je dać? — rzucał w noc retoryczne pytanie z determinacją. Spod wysokiego czoła oczy patrzyły ze współczuciem. — Ostatnie polecenie, jakie otrzymałem na okręcie, dotyczyło tylko mnie. Łatwe do odgadnięcia, gdy się zna sposoby zacierania śladów prowadzących do wojskowych tajemnic. Przewoziliśmy już eksperymentalne torpedy na lotniskowiec „Graf Zeppelin”. I przeżyliśmy. Bo wciąż byliśmy jeszcze potrzebni, a one zapewne nie zagrzały tam długo miejsca. To, co teraz dostarczyliśmy na wyspę, prawdopodobnie jest znacznie cenniejsze. — Tylko domyślał się, jaką niebezpieczną broń mogli przewieźć na wyspę, ale nic bliższego nie mógł o niej powiedzieć. — Wydano na was wyrok śmierci. — Opuszkami palców musnął broń, a oni zaczęli go słuchać z większą uwagą. — Zbyt wiele widzieliście. Coś z tego zrozumieliście, wyciągnęliście jakieś wnioski. Przynajmniej tak niektórym się wydaje. A w tych czasach to niedobrze. Mam powody uważać, że i na mnie ktoś czeka, by mnie, niewygodnego świadka, sprzątnąć, a ze mną tajemnicę pozostawioną na wyspie. Albo dostanę wiadomość, że mam się „zgłosić”. Dobrze wiecie, co wiąże się z takim poleceniem. Szczególnie teraz, gdy Radio Wolności drwi z wiary naszych rodaków w Hitlera — Zbawiciela Niemiec i mówi już tylko o jego nieuchronnej klęsce. I to wcale nie dlatego, by podnosić na duchu tych, co jeszcze nie trafili do obozów koncentracyjnych. — Zrobił długą pauzę, ze współczuciem przyglądając się zziębniętym podwładnym, łowiącym każde jego słowo chciwie. Tak jak i oni nie miał przyszłości. Nie czuł do nich specjalnej sympatii, ale był świadomy przegranej z kretesem III Rzeszy, nie widział powodów, by zwiększyć liczbę ofiar jeszcze o tych czterech chłopaków, którzy prócz ostro padających rozkazów być może nie zdążyli w żaden wiosenny wieczór usłyszeć dziewczęcego szeptu. Niech mają tę szansę. Może uda się im zostać przy życiu do zmierzchu i spotkają na drodze stęsknione usta dziewcząt? — Nie wykonam tego zadania. Nie pytajcie

dlaczego. I nie rozpowiadajcie, gdzie spędziliście ostatnie dni wojny. Te nikłe światelka, jakie widzicie, to Misdroy, na drogowskazie może już nazwa polska Międzyzdroje. Kurort. Chyba znajdziecie w nim schronienie. Na pewno nie wszyscy rodacy opuścili miasto. Może pomogą. Od was zależy, co z sobą zrobicie. Wojna skończona, ostatni Niemcy w mundurach po tej stronie Odry są w oddziałach Werwolfu. Większość z nich pochodzi z Vernichtungskommando, oddziałów powołanych do niszczenia, wysadzania mostów, domów, palenia. Nie mam pewności, czy nie przyjęliby was nie jak dezertarów. Ja będę ich unikał. A szansa dotarcia do resztek innych oddziałów za linią frontu jest niewielka. Ale jak chcecie, możecie próbować. — I dla osiągnięcia pełnej satysfakcji przywódcy zrzekającego się władzy dorzucił jeszcze: — Ja was do nich nie poprowadzę.

Wysłuchali go w skupieniu.

— Broń nam odebrano, dlaczego pozostawiono mundury? — spytał z przejęciem jeden słusznego wzrostu rudowłosa, o wyjątkowo płaskim, ascetycznym obliczu, wierząc się, jakby przymus noszenia munduru zaczął go bardzo uwierać. — Czy to logiczne? — Na twarzy pojawił się skostniały wyraz złości.

Wutke czuł się wśród nich nietęgo. Jakby miał odpowiadać Bóg wie za co: za wierność sztandarowi, kultywowanie wojskowej tradycji, honor każdego z tych chłopaków. Nie potrafił po raz ostatni zdobyć się na arbitralność. Spostrzegawczość rudego i logiczne myślenie zawsze robiły na nim wrażenie. Zawsze, ale nie dziś. Mimo całego szacunku, jaki do niego żywił, teraz najchętniej zbeształby go słowami wymykającymi się spod kontroli umysłu.

— Takie jest życie — oświadczył z niejaką afektacją. I bardzo się zafrasował.

— To znaczy? — dopytywał tamten.

Wutke nie krył irytacji.

— Mieliśmy pójść na dno! Plan nie wypalił! — wykrzyknął twarzą w jego twarz ze ścinającym serce bólem. Upłynęło nieco czasu pełnego napięcia, gdy łagodniej dorzucił jeszcze: — Swój los macie w swoich rękach.

Wstał. Miał ponad metr siedemdziesiąt i ten wzrost budził w podwładnych szacunek.

— Powodzenia!

Właśnie tak rozstawał się z nimi, bez wyciągnięcia ręki przed siebie, bez butnego okrzyku: Heil Hitler! I bez żalu, bez poczucia związku, jaki mógł ich łączyć podczas wykonywania tajemniczego zadania. Potem bez emocji patrzył jak dość

opieszale szukają drogi odwrotu. Najwidoczniej nie mieli pojęcia, co zrobić ze swym dalszym życiem bez dowódców, bez rozkazów. Nie był od nich lepszy, on również poczuł się pod klifem jak porzucona sierota. Patrzył na morską gładź leniwie rozlewającą się za szerokimi łachami piachu gdzieniegdzie usianymi głazami i betonowymi blokami z jakichś zniszczonych przez zimowe sztormy umocnień i zastanawiał się, co z sobą uczynić. Miał w mieście wuja, ale nie był pewien przyjęcia oficera w mundurze SS-Verfügungstruppe. Z Friedrichem Wutke od dłuższego czasu się nie widział, nie miał pojęcia, jak ostatnie miesiące wojny na niego wpłynęły, co pochwalał, a co potępiał w najnowszej historii Großdeutsches Reich, Rzeszy Wielkoniemieckiej, która miała przetrwać tysiąclecie, a legła w gruzach szybciej, niż mogło przeżyć jedno pokolenie. Czy nie będzie oskarżał o to krewniaka? Wuj nie wstąpił do partii narodowo-socjalistycznej? Żyje? Jeżeli tak, to za jaką cenę? Człowiek o wielkim sercu i jeszcze większym żołądku. Leniwy, ospały, za to z bardzo szybko trawiącym żołądkiem, stale głodny, łaknący piwa. Z jego żoną Adelą Peter nigdy nie miał dobrych układów. Fanatyczna wielbicielka Hitlera, córkę Helgę podziwiała za aktywne działanie najpierw w Jungmädelbund, potem w Bund Deutscher Mädel, jakby udział w organizacjach i utożsamianie się z ich ideami rekompensowały brak urody brzydkiej, otyłej dziewczuchy, wchodzącej w wiek dojrzałości. Nawet on, obnoszący się po uliczkach Misdroy w mundurze ozdobionym trupimi główkami, wobec Adeli czuł respekt graniczący z lękiem. Przy niej liczył się z każdym słowem i dom wujostwa opuszczał z ulgą i nadzieją, że nie wypaplał czegoś, co mogłoby mu zaszkodzić. A gdy przydzielono go do służby w okolicy Peenemünde, był u nich dość częstym gościem. Zachowywał jednak taką powściągliwość w rozmowie, że nawet nie wspominał o sierpniowych nalotach aliantów, o ponad pół tysiącu samolotach zrzucających markery, pathfindery, bomby burzące, zapalające. Oczywiście, niewyobrażalne zniszczenia też przemilczał. Swędził go język, by za Hitlerem powiedzieć coś złośliwego o Luftwaffe, bo nie obroniło ośrodka raketowego w Peenemünde, o generale Hansie Jeschonku, szefie sztabu generalnego lotnictwa, który w pociągu popełnił samobójstwo, gdy oficjalnie podano do wiadomości, że zmarł po krwotoku żołądka. Takie wiadomości na pewno poprawiłyby jego wizerunek w oczach ciotki, w małomównym krewniaku nie upatrującej kogoś zaliczanego do osób znaczących na scenie wojennego teatru. Milczał, bo tylko milczenie zapewniało uniknięcie dyskusji na drażliwe tematy. A było ich coraz więcej i coraz więcej błyskawicznych sądów i wyroków na siejących defetyzm.

Matka Petera nie darzyła jej sympatią. Opowiadała pewną historię, prawdopodobnie decydującą o stosunku do niej. Otóż na ulicach kurortu Misdroy często zaczepiał ludzi chłopak niepozabawiony sympatycznego wyglądu, ale swym zachowaniem wprawiający niektóre wczasowiczki w zakłopotanie. Miejscowe znały go i tolerowały. Miał na imię Alfred, ale sam siebie nazywał Alfem.

— Alf cię kocha — zwracał się do przechodzącej.

Gdyby nie jego częste wyznania, mało kto z przyjeżdżających do miasteczka znałby jego imię. Na pewno nie od rodziców. Mieszkali na III piętrze, byli w wieku przedemerytalnym, zamknięci w sobie, ponurzy, nieufni, unikający kontaktu z otoczeniem. Alf miał ponad osiemnaście lat, wyróżniał się śniadą twarzą o wyrazistych rysach z orlim nosem, oczyma czarnymi, nad którymi zwiślały gęste brwi. Głowę pokrywały bujne włosy bruneta, zawsze zadbane, strzyżone w jedynym na osiedlu zakładzie fryzjerskim. Pojawiał się w nim co kilka dni i od progu wyznawał swe uczucia fryzjerce, która właśnie nie była zajęta jakimś klientem, siadał w fotelu przed lustrem i czekał. Na każde zadane pytanie odpowiadał tak samo:

— Alf cię kocha.

Ostrzyżony, odświeżony raz jeszcze z uśmiechem na twarzy wyznawał swe uczucie i wyruszał między ludzi. Oczywiście żadnej fryzjerce nie przyszło przez myśl, by mu odmówić fryzjerskiej usługi, a po wykonaniu jej, by żądać zapłaty. Wiedzano, że chodzi bez grosza w kieszeni, za to jest miły, serdeczny wobec wszystkich, szczególnie dla kobiet i jeżeli mu czegoś w życiu brakowało to wzajemności. Wiele mieszkank nie żałowało mu jej. Życzliwość okazywano mu w różny sposób. W ciężkich latach wojny za uśmiech Alfa odpłacano się a to jabłkiem czy gruszką ze straganu, cukierkami czy ciasteczkami z cukierni, bułką i butelką mleka ze sklepu spożywczego, kilkoma kroplami wody kolońskiej z półki perfumerii. Kiedy miał czegoś w nadmiarze, to chętnie dzielił się z innymi.

— Alf cię kocha — zapewniał z promiennym uśmiechem.

Kiedyś jakaś wczasowiczka, która usłyszała go w cukierni, popatrzyła nań ze współczuciem i stwierdziła:

— Zna tylko słowa, które nic nie znaczą.

Właścicielka cukierni zauważyła wówczas: — A może mają dla niego więcej znaczenia niż przypuszczamy?

Był rannym ptaszkiem. Rodzice nie potrafili mu zapewnić opieki, a nie chcieli, by w domu pozostawał sam, więc przed wyjściem do pracy wyprawiali go na ulicę. Zaraz

po opuszczeniu klatki schodowej słycać było, jak wykrzykuje do spieszących się przechodniów:

— Alf cię kocha!

Na ulicy czuł się świetnie. Obojętnie gdzie by wstąpił, cierpliwie wysłuchiwno jego wyznania, pozwolono mu tak długo uśmieczać się, jak tylko miał na to ochotę, częstowano tym, co było w sklepie i nikt nigdy nie przepędzał go z lokalu. Nie miał psiej natury, nie przywiązywał się do nikogo, nikogo też nie zamęczał natrętnym towarzysztwem, czy dosiadanien się na ławce. Lubił pewne trasy, wędrował nimi codziennie, miejsca, do których zmierzał, by trochę tam pobyc, pouśmieczać się i wyrzec sakramentalne:

— Alf cię kocha.

Żadna impreza na nadmorskiej promenadzie czy w muszli koncertowej nie dawała widzom tyle okazji do rozjaśnienia twarzy uśmieciami, co Alfowi. Schodzili z plaży nagrzeni słońcem, słuchali dowcipów konferansjera, oglądali skecze, występy solistów, chórków, ale nieraz jakby bez serca, bez powodów do wzruszania się. Stali ze zneruchomiałymi twarzami, z których prócz potu nie chciały spłynąć troski dnia, zmartwienia o jutrzejszy dzień, nagradzali wykonawców oklaskami, lecz bardziej z przekonania, że tak wypada niż z wdzięczności za przybycie do nich, za występ. Szczerze uśmieczał się, oklaskiwał tylko Alf. Był wpisany w miasteczko, w jego uliczki, rynecek, sklepiki, w nadmorską promenadę, w plażę. Kurort należał do niego, on do kurortu. Z pierwszym ciepłym wiosennym powiewem właścicielki działek na ogródkach za miastem na ulice wnosyły cięte kwiaty. W połowie maja stawały też kobiety z bukietami białych konwalii z podmiejskich lasów na wyspie, z gronami pachnących lilaków. Alf chodził od jednej do drugiej i każdą zapewniał o swym uczuciu. Znały go, więc nie zachęcały do zakupów, uśmiecwały się, dawały mu kwiatek, gałązkę bzu. Chodził z tym po miasteczku i wręczał dziewczynom, kobietom młodym i starszym.

— Alf — mówiono — roznosi po mieście wiosnę.

Jedną z niewielu osób, których zachowanie Alfa drażniło, była Adela Wutke. Uwielbiała świeże kwiaty, często widziano ją przy ścianach, gdzie stały sprzedawczynie tulipanów, róż, narcyzów. Nie wyklócała się o cenę, kupowała i niosąc je przed sobą, wracała uśmiecnięta nad nimi do domu. Z jakichś nieznaných przyczyn była to druga obok Alfa osoba na ulicy, która znajdowała powód, by się uśmieczać. Nigdy nie przyjęła kwiatka od Alfa.

— Alf cię kocha — powtarzał jej wiele razy, zawsze przed nią szeroko otwierając drzwi do klatki schodowej.

Na jego widok jej uśmiech zastygał. Przechodziła obok bez słowa, ale w drzwiach oglądała się, jakby chcąc sprawdzić, co jeszcze może ją czekać ze strony przystojnego chłopaka zachowującego się impertynencko. Pewnego dnia później niż zwykle wracała do domu z naręczem kwiatów i wówczas podszedł do niej ze schnącym badylem róży i wysunął w jej stronę.

— Alf cię kocha — powiedział i czekał, by wzięła od niego kwiat.

Nie uczyniła tego. Minęła go jakby był powietrzem. Na jego ustach uśmiech zamierał powoli, w niedowierzaniu. Kilka dni później sytuacja się powtórzyła. Tym razem z większym uporem postanowił obdarować ją więdnącym tulipanem, głośniejszym niż zwykle zapewniał o swym uczuciu, powtarzał je wielokrotnie, a uśmiech zmieniał się w trudny do określenia grymas.

— Ten mężczyzna wydaje się być dość niebezpiecznym człowiekiem dla otoczenia — ze swych obaw zwierzała się sąsiadom. — Powinniśmy zainteresować się tym osobnikiem, nim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Tacy nie mogą chodzić po ulicy! Dla nich są szpitale, obozy.

Trzy dni później Alf został zatrzymany. Już nikt więcej w miasteczku go nie zobaczył. Adela chlubiła się, że ona jedna potrafi rozwiązywać trudne sprawy.